

1. ENKYKLEMA

Ziemia nie rozlała jeszcze trzęsienia pod ludzi. Światło nie miało jeszcze liczących się szans, żeby wykazać się szybkością. Niemniej noc, postarzała, po przejściach, powracając z tajnych łowów, wyczuwała: oho, zaraz świt zawierci się w planach, od czego zacząć rządy. Stał w kolejce, stał – doczekać się nie może. Syczy, wyrodne dziecko ciemności: „I ja miasta częstką, nie ty jedna”.

Na razie ciemność i jasność negocjują roznosiciele mleka. Którzy przeklną zepsute wejście do klatki (no po co tyle tych mieszkań robią?), to brak żarówki, przez który drogę zaskoczy wózek-wielegacha, chyba na trojaczki (ludzie tylko dzieci robią), to co, to jakieś pudło, olej, dajemy do windy, pudło, remont (oż, znów mamy kalwarię, Kaziu), gdzieś na wycieraczce makulatura rozwolniła się spod słabizny sznurka, schody, schody, odgłos ze zsypu, co, o tej godzinie, pewnie kot, to jakieś sanki zastawiające przechód, a jeszcze uważać żadnej donicy na końcu korytarza nie rozbić, bo później do spółdzielni się skarżą (ja uważam, że jak które chcą więcej zieleni, to niech na wieś jadą, a nie do stolicy), z brzękiem butelek zwrotnych, pod kapsle srebrne, kapsle złote, zależnie od abonamentu.

Do roznosicieli mleka noc chciała dodać okazyjnego pijacka późną porą, który o imieninach Jana nie zapomniał – jakże, za Jasia mam nie wypić? trzeba pić, żeby żyć – a który wracając do siebie, zapomniał o nogach, pacnął na łańcuch od słupka do słupka, zbawiający go od jezdni. Dajmy, na zakręcie w ulicę Piastowską za rzeką. Noc lubiła ten zakręt, prostotę kąta, wybrzuszoną pyszność domu na rogu,

prześwit nibyarkad, skręt kostki przechodzącej w asfalt, zakręt do ostatniej chwili nieujawniający, co się staje. Jak jeździ historia się toczy. Ale świt nie przysłał na pijaczka, a miał coraz więcej do powiedzenia.

Za zakrętem staje się – acz nie od razu, ale przystanek dalej, koło Stawku Zamkowego – autobusom stołecznej komunikacji. Prawie wszystko czerwone. Poranek dopuścił je do ruchu, ciemności już nie pytając o zdanie. Tłoczonego jelcza z dalekiego Damboniowa puścił, wiele warkotu o nic. Albo nie, ojczyzna się rozwija, idzie święto, ludzie ciekawe, co rzucą, więc nowego autosana, może ikarusa, dzień ma gest, a w nim urzędniczki różne, przepraszam, pani będzie tu wychodzić, tak, tak, ja tutaj, aha, to ja za panią. Czasem nie, nie, ja dopiero koło dworca, aha, a ja teraz, przepraszam panią.

Większość na pokładzie dobrze zna się z widzenia. Ta to się zwykle spóźnia, bo noce zarywa, ja pani powiem, nie ma jej czego zazdrościć, a tamta zawsze wchodzi na Domańskiego, z dzieckiem, ładne nawet, grzeczne, dwójka z Domańskiego jedzie, więc trzeba dojść kawałek. Tamta zawozi nagły magiel, ma jakieś pranie w walizie, co ona, głupia, o tej porze magle nie robią. Może dalej gdzieś jedzie? Ale jak to dalej, drugi magiel to w Chmielowicach, ta jedna dorabia na wsi, co to pani wie, co robiła wcześniej, ale to w drugą stronę przecież, na Komprachcice, Osina, Chmielowice, nie, nie, ja znam ją bardzo dobrze z widzenia, no mówię pani. Pasażerki nic nie mówią, notują w pamięci, potem obgadają na ustronnym, patrzą, która ma w nową barwę starą kiecę, albo na odwrót, notują. Ale waliza z praniem, wąż pod nogami, bo nie widać, a można się potknąć, a można się zadumać, no czemu się pani nie przycisnie, proszę się ścisnąć, bo ludzie

wychodzą, ja tu walizkę mam, aha. Wie więc większość, kiedy ile brzucha wciągnąć, przykleić do nóg siatek i teczek, znaczy, ile trzeba wychodzącym wozu rodnego na wolność. Chyba że o Jezu, proszę się nie pchać, ja się nie pcham, proszę pana, jak to się pan nie pcha, jak mnie pan pcha, to nie ja, to z tyłu się pchają. Ktoś może grubiej niż o Jezu, kurwa, rzadko, bo tak tłoczy się inteligencja pracująca, a co najmniej średnia.

Mężczyźni, średnio, wolą nie angażować się w magię, człowiek człowiekowi milczkiem. Myślą cichutko o piwie. Piwo, daj mi siłę wytrzymać trajkoty, daj cierpliwość, bo huknę, i daj mądrość, jak na jednym nie skończyć, niech już będzie czternasta czy coś. Ja cię nie mogę, jeszcze siódmej nie ma, a już się odechciewa, i nawet wyższym też. A dziś jeszcze jedna pani chce wyjść. Pani jest z wózkiem, najwyraźniej bez męża – (Z wózkiem, teraz, tutaj? Nie lepiej było dzieci robić za dziesięć lat? Miałaby pani węgierskie przegubowce, a tam pełno drzwi, trójka, czwórka, wszystkim nam byłoby łatwiej, stażowanie w spółdzielni mieszkaniowej byłoby bliskie zwycięstwa. Proszę pani, nigdy nie ma dobrej pory na dzieci. Co też pani wygaduje, wojna była, a po wojnie nic nie było, a dzieci były. Jak się nie chce dzieci, to rodzi się wymówki. Wygodnicka jedna z drugą. Pani, ja pani nie obrażałam. I nie wygodnicka, tylko rencistka. Aha. Proszę pani, znam takie jak pani. Mnie o pani mówili. A panią też tu znają. Proszę pani, ja nie po to sobie z przeproszeniem dupę fatygowałam, żeby moje dzieci na pani jakieś zbowidy tyrały. A nie dla mnie na emeryturę, tyle pani powiem, i już skończmy. Proszę pani, ja na rentę zapracowałam, a jeśli pani zazdrości, trzeba było dzieci nie mieć. Co tam pani wie, i jeszcze ciut drogi toczy się dyskusja) – i ledwo ją widać,

przycupłą w sobie kobietę z wózkiem, z przyszłością narodu. Cenna jest, cenna, bo jak wyjdzie, to jakby troje wyszło. Racja, racja, damy radę. To jak, proszę państwa?

Oddech brać.

Ładne dziecko, nie płacze, pomożemy. A jednak nie, jednak nie wiem, czy to się uda, bo sama pani widzi, jak jest, i co ja pani poradzę, przecież musiałby cały autobus dla pani wychodzić i potem wracać do środka, ja się zastanawiam, jak pani w ogóle weszła, ale proszę pana, ja muszę, ta pani, proszę państwa, musi, ludzie, wołajcie do kierowcy. Panie kierowco, ej, panie kierowco! Co on, chyba nie słyszy, a gdzie tam, głuchego udaje, radio włączył, och, ja też bym włączył, myślą cisi przy piwie, żeby was nie słuchać, Jezu, trzeba głośniej, hej, kierowca, co za ludzie się porobili, chyba że tylnym wyjściem, bo jak nie, to już nie wiem, ale, proszę państwa, ja nie mogę się spóźnić, proszę pani, o, już dojeżdżamy. A kto może, proszę pani? A może ktoś z panów mi pomoże?

Oddech.

Cisza w natarciu, spojrzenia w odwrocie. Dobrze, jest ktoś, kto powie, ja pani pomogę, zresztą ja też wychodzę. Zróbmy tak, wpierw ja z przodu, a pani od tyłu, proszę państwa, proszę pomóc. O, znajdzie się drugi pan, pani zostawi ten wózek, ja pani wezmę od tyłu. W wózku zabecikowane dziecko zaplanowane, do żłobka na Strzelców Bytomskich, nie śpi, ale nie zakłóca podróży psów do wilków. Pomiedzy zupą mleczną na podryw a kawą na pełen etat, kozucha nie lubi, nie płacze, wychowane, ząb jeszcze mleczny, ale nie płacze, dwójka z Domańskiego jedzie. Ktoś krzyczy, e, szofer, stój pan, kurwa, tu jeszcze pani z wózkiem wyjdzie, wychodzi, chce wyjść, nie wyjdzie. O poród łatwiej, nie pchajcie się, Jezu, rencistka się znalazła, ludzie, ludzie, a najwyżej się pani przesiądzie, co

mnie pani depta, co za chamstwo w narodzie, święto idzie. Ta, zaraz święto, proszę pani, ja mam kartki na cukier nie-wykorzystane, a nie święto. A ja uważam, proszę pani, że od cukru tylko zęby się psują, a od zębów.

Oddech. Uwaga!

Ziemią zatrzęsie na Spychalskiego, gdzie za kocimi łbami garb taki, że oho, cały autobus skoczy, hyc, czkawka.

Wstrzymać ziemię, ruszyć oddech. Łatwiej o słowa, ja pani pomogę, bo jeszcze nie zima. Słowa przywódtwożyć się zimą nie muszą. Zimą drogowcy się starają, oto sól zimy parnej, oto syf pod wasze buty i koła, oto bura breja pod wózki. Brudzi towarzysza Cyrenajczyka, żadne peweksy, niemniej wizerunek kandydata na kierownika wydziału poszargany. Podrzednego, ale zawsze. Jeśli dziecko mieć, to celować, żeby nie wychodzić w zimę. O nie, zima to nie pora na dzieci, wymówka się znajdzie, mężczyzna nie zawsze.

Oddech. Zaraz przystanek.

Jak przepowiadano, koło Stawku. I sporo narodu wygrzęźnie z niewoli czerwonej numer dwa, jedenaście czy inne piętnaście. Wychodźcy, wychodźczynie, tak, udało się i pani z wózkiem z przyszłością i z dwoma panami, rozejdą się czym prędzej, wszyscy spóźnieni, jeszcze tylko patrz pan, poprzedni kurs widać, czyli dopiero co jechał. Tuż przed naszym, mówię panu oraz witam szanownego pana kierownika. Co? A nie, nie, jeszcze nie. Kobieta z walizką również wyszła, ale tylko żeby puścić i wejść z powrotem. Dzień dobry, nie ma za co, nie ma za co.

Oddechy, niektóre.

Przecież i tak jesteśmy spóźnione. Ryzykują chwilką na boczek na zefirka z filtrem i krótką plotką przed pracą, oj, pani Marysiu, tam chyba mój dyrektor idzie, muszę biec,

widzimy się w pedecie, jak się umawiałyśmy. A co on tu robi, on nie miał w delegacji być? No miał, miał, i co zrobię, niech pani gna, niech ucieka. I przejdzie naród ciut-ciut metrów do urzędu wojewódzkiego, po schodach pod wejściowe. Portier, kogo zna z widzenia, tego nie zapyta, pan, pani do kogo. Na lewo mało kto skręci, na prawo szatnia, przystają ci, którzy są bez swojej szafy czy stojaka, bo goście, idzie święto, goście mogą być, w kolejkę, żetony rzucają. Następnie jedne do windy, że mało gdzie taka winda, ojczenasz, a inne, chcące przegonić dyrekcję albo z niskich pięter, po schodach, dzień dobry, po schodach.

Zasapane, wyrównać.

Reszta autobusu, tu sprzedawczynie, na pocztę tam, tu nauczycielki z Reymonta, a wraz inne zawody zespolone w niedospaniu, wyjdzie jakieś siedem minut później koło dworca głównego. Nie licząc kobiety z walizą, która nagle ma autobus dla siebie, a nie ma nikogo, kto by się temu dziwił. Kierowca, a co kierowca, nie takie rzeczy widział, że milczcie lusterka. Nie taką z pieluch autobusu wynoszono ohydę.

Oddech.

Płytko, jak w dym. Zasapała się noc, pora umierać. A pamiętasz, a pamiętasz, jak jeszcze się żyło i w ulicach było głucho? Ciemność, zdawało się, stoi znowu przed żelazną bramą z Ozimka na kłódkę z Nysy, zamkniętą na hotel stołeczny, jego cement z Zakrzowa, jego zapomniany zakaz fotografowania, na armaturę z Głucholazów, na spust w Zawadzkiem, w Brzegu napędzany dzwon alarmu, śpij, moje serce, a ręczniczek z Prudnika na kluczyk wbity w ścianę z mebli, stół z Namysłowa wezwany na dywanik z Kietrza, w cud miseczce z Otmuchowa miód cuksy Inki, w planie alkohol Azotów Kędzierzyn polany w szkło z Murowa, pod

łóżkiem skórzane botki z Otmętu, przy łóżku pończochy z Głubczyc, obok majtki, ale nie wiem, skąd brały się majtki. Nocy, wysił wyobraźnię. Myśl, jakie tam byłyby luksusy. Na łóżku połędwica, prezent ślubny. Cygaro, rozognione papierem toaletowym. Marlboro, ale lot zagraniczny, nie z Krakowa, kończy wśród niedopalin zaraz po starcie. Bibułkę kręcimy w lewo. Futerko z lisów, przeszło odprawę, przejdzie do historii, już sezon na kozuchy z mlecznych owiec. Jak we śnie, wszystko jak przez mgłę. Jak nie spałbyś pysznie, hotelu robotniczy, gdybyś umiał podejść nad rzekę, nabrać w płuca powietrza znad biegu, zapowiedź od wody: tam, dokąd dopłynę, zrodziła się zaraza, silniejsza niż odra, już wraca, pilnie.

Oddech.

A to, pamiętasz? Zaczynając marsz przy schodkach na uliczkę Ostrówek, dalej wążąc się na wał, a nie skręcając w Barlickiego, lecz dążąc wytrwale wprost po trawie wzdłuż murku i nie skręcając w stronę amfiteatru, udającego, że tysiąclecia popamiętał, dalej, dalej, jak gdyby chcąc dojść do przedszkola na Strzelców, jeszcze, przez smukły skręcik Odrowążów, który zginie za Dzierżyńskiego i zmarłych wstanie przejściem pod wiaduktem kolejowym, i tam, raptem, zakończy się czas Jerzego K., szarego obywatela, wzrost: niski, średniej budowy ciała, oczy: ciemne, jakby smutne, włos: ni to ulizany, ni to nastroszony, znaki szczególne: brak, rodzice: nienotowani, wiek: bez pojęcia. Zaraz, on kogoś nam przypomina, pomyślały nieliczne plamy krwi, leniwe. Noc, która była najbliżej miejsca zbrodni, myślała opowiedzieć, co się właśnie stało, ale zanim przypomniwała sobie, że wyjaśnianie tego nie leży w jej interesie, było już za późno.

Żegnaj, nocy. Większość nas przespała twoje starania, żeby coś znaczyć. Twoje ambicje, żeby nie wejść łagodnie na bezwartościową stronę kalendarza. Twoje oddechy.

Bez odbioru.

A więc jest już pierwsza ofiara. Amfiteatr krzywi się, że ten trup zbyt jawny. To już nie tak, jak kiedyś. Już nie to, co dawniej. W antyku nie pokazywaliśmy śmierci. O śmierci obwieszczano. Kiedyś dekorum coś znaczyło. A dzisiaj? Kawa na ławę. (Z kapką mleka oraz – o! – z cukrem, przyjdzie pani ze szmatą, ławki przetrze, święto idzie). Gdyby noc zdążyła opisać scenę zabójstwa, zrobiłaby to tak: Za światłami zawarczał napęd – to jakiś nocny junak – nie wiadomo, skąd ani dokąd, i nie wiadomo, jak mu się udało, a jednak mu się udało.

Zabić.